

GRZESZNICA

PETRA HAMMESFAHR

GRZESZNICA

TŁUMACZENIE BARBARA TARNAS



OTWARTE

KRAKÓW 2018

Tytuł oryginału: *Die Sünderin*

Originally published under the title DIE SÜNDERIN.
Copyright © 1999 by Rowohlt Verlag GmbH, Hamburg, Germany

Copyright © for the translation by Barbara Tarnas

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Ewa Polańska Kropka

Projekt okładki: copyright © 2017 US Network Media LLC

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-483-2



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

ROZDZIAŁ 1

Był gorący dzień na początku lipca, gdy Cora Bender zdecydowała się umrzeć. Tej nocy uprawiała seks z Gereonem. Sypiała z nim regularnie w piątkowe i sobotnie wieczory. Nie potrafiła mu odmówić, zbyt dobrze wiedziała, jak bardzo tego potrzebował. A poza tym kochała go. To było coś więcej niż miłość. Wdzięczność, bezwarunkowe oddanie, coś absolutnego.

Gereon sprawił, że mogła być taka jak wszyscy – normalna młoda kobieta. Dlatego chciała, by czuł się szczęśliwy i spełniony. Dawniej jego pieszczoty sprawiały jej przyjemność, ale pół roku temu przestały.

W Wigilię Gereon wpadł na pomysł, by włączyć w sypialni radio. To miała być wyjątkowo piękna noc. Dwa i pół roku wcześniej wzięli ślub, a przed osiemnastoma miesiącami urodził im się syn.

Gereon skończył dwadzieścia siedem lat, Cora Bender dwadzieścia cztery. Gereon był szczupły, miał niecały metr osiemdziesiąt wzrostu i wysportowaną sylwetkę, choć niczego nie trenował, bo brakowało mu na to czasu. Jego

włosy, po urodzeniu tak jasne, że niemal białe, z wiekiem lekko ściemniały. Twarz miał ani przystojną, ani brzydką, po prostu przeciętną, właściwie ogólnie był dość przeciętnym człowiekiem.

W wyglądzie Cory Bender także nie zauważało się niczego szczególnego, pomijając blizny na czole i w zgięciach ramion. Znamię na głowie było skutkiem wypadku, brzydkie ślady na rękach zostały po stanie zapalnym wywołanym przez igły używane do zastrzyków w szpitalu – tak wyjaśniła Gereonowi. Dodała, że nie przypomina sobie szczegółów. To ostatnie akurat było prawdą. Lekarz powiedział wtedy, że przy poważnych urazach czaszki często dochodzi do zaników pamięci.

W jej życiu istniała dziura. Skrywała brudny, ciemny rozdział. Cora wiedziała o tym, choć nie miała wspomnień. Przed kilkoma laty każdej nocy wciąż wpadała w tę przepaść. Ostatni raz cztery lata temu. Wtedy jeszcze nie знаła Gereona. I w jakiś sposób udało się jej wówczas ją zakopać. Odkąd wyszła za męża, nie sądziła, że może znowu tam wpaść. A potem stało się to – właśnie w Wigilię.

Początkowo wszystko było w porządku, cicha muzyka i czułości Gereona, które stopniowo stawały się coraz bardziej intensywne i natarczywe. Powoli przesunął się po niej w dół, wtedy zaczęło być niemilo. A gdy zanurzył głowę między jej nogami i poczuła jego język, muzyka zabrzmiała głośniej. Usłyszała szybkie uderzenia perkusji, gitarę basową i wysokie, ostre dźwięki organów – tylko przez ułamek sekundy – w następnej chwili wszystko minęło. Ale ten krótki moment wystarczył.

Coś w niej pękło lub rozpadło się niczym szczelnie zamknięte drzwi skarbcza pod wpływem palnika. To było niezręczyste uczucie. Jak gdyby nie leżała już we własnym

łóżku. Poczula twarde podłoże pod plecami i coś w ustach, jakby niezwykle gruby kciuk miażdżył jej język i brutalnie pozbawiał ją tchu.

Sprzeciw był odruchowy. Objęła kolanami plecy Gereona i zacisnęła uda na jego szyi. Niewiele brakowało, a złamałaby mu kark lub go udusiła. Początkowo nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi, tak bardzo odpłynęła. Dopiero gdy Gereon, krztusząc się i dysząc, uszczypnął ją i wbił paznokcie głęboko w jej miękką talię, ból przywołał Corę do świadomości.

Mężczyzna z trudem chwycił oddech.

– Zwariowałaś? Co cię napadło? – Potarł kark, kaszlnął, obmacał szyję i popatrzył na nią, potrząsając głową.

Nie rozumiał, co się z nią stało. Ona także nie wiedziała, dlaczego nagle zrobiło się to aż tak wstrętne i odpychające. Tak straszne, że przez chwilę sądziła, iż czuje na sobie oddech śmierci.

– Po prostu tego nie lubię – odparła i zaczęła się przyслуchiwać dźwiękom radia.

Muzyka wciąż brzmiała cicho i łagodnie. Dziecięcy chór śpiewał: „Cicha noc, święta noc. Pokój niesie ludziom wszem”. Czego chceć więcej w taki wieczór?

Niespodziewany atak odebrał Gereonowi całą ochotę na seks. Wylączył radio, zgasił światło i naciągnął koldrę na ramiona. Nie życzył jej dobrej nocy, tylko burknął:

– Nie, to nie!

Zasnął szybko. Później nie umiała powiedzieć, czy ona też. W pewnym momencie okazało się, że siedzi wyprostowana na łóżku, wymachując pięściami i krzycząc:

– Przestańcie! Zostawcie! Dajcie spokój! Przestańcie, świnie!

A w głowie huczały jej wstrętne uderzenia perkusji, gitara basowa i ostre dźwięki organów.

Gereon obudził się, złapał ją za rękę, potrząsnął i także krzyknął:

– Cora! Przestań! Co się dzieje?

Nie umiała przestać ani się obudzić. Siedziała w ciemnościach i bezskutecznie walczyła z czymś, co powoli zbliżało się do niej, z czymś, o czym wiedziała tylko, że odbiera jej rozum.

Dopiero gdy Gereon kilkakrotnie uderzył ją lekko w twarz, oprzytomniała. Spytał, co się z nią dzieje. Czy czegoś jej nie zrobił. Nie myślała dość jasno, by mu od razu odpowiedzieć. Tylko na niego popatrzyła. Po kilku sekundach znowu się położył. Zrobiła to samo, obróciła się na bok i próbowała sobie wmówić, że to był tylko zły sen.

Następnej nocy jednak, gdy Gereon próbował nadrobić straty, sytuacja się powtórzyła, choć tym razem w sypialni nie było radia, a on nie zmierzał do tego, co uważał za najlepszy dowód miłości. Na początku zabrzmiała muzyka, nieco głośniej i dłużej, na tyle długo, by Cora mogła stwierdzić, że nigdy nie słyszała tej melodii. Potem wpadła w czarną dziurę, z której wydostała się, krzycząc i bijąc pięściami wokół siebie. Obudziła się dopiero, gdy Gereon potrząsnął nią i spoliczkował, wykrzykując jej imię.

W pierwszym tygodniu stycznia zdarzyło się to dwa razy, w drugim raz, bo Gereon w piątek był zbyt zmęczony. A przynajmniej tak twierdził. W sobotę powiedział jednak:

– Zaczynam mieć dość tego cyrku.

Może już w piątek o to mu chodziło.

W marcu Gereon zaczął nalegać, by poszła do lekarza.

– To nie jest normalne, sama przyznaj. Trzeba wreszcie coś z tym zrobić. A może już zawsze ma tak być? Jeśli tak, to będę spał na kanapie.

Nie poszła do lekarza. Na pewno spytałby, czy może wytłumaczyć ten dziwny koszmar lub czy przynajmniej

wie, dlaczego pojawiał się zawsze wtedy, gdy Gereon chciał się z nią kochać. Lekarz zacząłby pewnie rozdrapywać tę ranę, wmawiałby jej, że należy sobie uświadać takie sprawy. Nie rozumiałby, że istnieją rzeczy zbyt potworne, by je sobie uświadomić. Spróbowała więc szukać pomocy w aptece. Doradzono jej łagodny środek nasenny. Dzięki temu ustały krzyki i wymachiwanie pięściami, a Gereon założył, że wszystko znowu jest w porządku. Nie było.

Z każdym końcem tygodnia było gorzej. Już w maju przed piątkowym wieczorem odczuwała niemal zwierzęcy strach, który powoli zżerał ją od środka. Piątkowe popołudnie na początku lipca okazało się piekłem.

Siedziała w biurze, które było niczym innym jak kąciem oddzielonym od reszty magazynu. Na biurku świeciła się lampa, w kręgu światła leżał faks wskazujący datę i godzinę.

4 lipca, 16.50! Jeszcze dziesięć minut do końca pracy. Około pięciu godzin, zanim Gereon zacznie się do niej dobierać. Najchętniej zostałyby tu do poniedziałku rano. Dopóki siedziała za biurkiem, była pracowita i bystra, stanowiła siłę napędową w firmie teścia.

Rodzinny interes, tylko ona, teść, Gereon i jeden pracownik, Manni Weber. Przedsiębiorstwo instalacyjne, ogrzewanie i hydraulika, a bez niej nic nie działało. Była dumna z zajmowanego stanowiska, o swoje miejsce w hierarchii musiała ciężko walczyć.

W dzień po weselu teść zażądał, by zajęła się pracą w biurze. I nie pozwolił sobie nic powiedzieć.

– Co to znaczy: nie umiem? Masz przecież oczy! Zajrzyj do księgowości, to się nauczysz. A może myślałeś, że będziesz tu siedzieć na czterech literach i się objąć?

Nigdy nie siedziała na czterech literach ani się nie obijała. Tak też mu odpowiedziała. Stary skinął głową.

– No to ustalone.

Do tej pory to on musiał wieczorami porządkować papiery. Teściowa potrafiła zaledwie obsługiwać telefon. Ona sama początkowo umiała niewiele więcej.

Stary nigdy niczego jej nie doradził, nigdy nie udzielił żadnej wskazówki, jak do tej pory załatwiał sprawy. A żeby jeszcze ktokolwiek mógł się zorientować w rachunkach, powinny być porządnie prowadzone. Czasami zdawało się, że stary czerpie złą satysfakcję z jej bezradności. Wkrótce jednak przestała być bezradna.

Szybko złapała, o co chodzi, i zaczęła się wdrażać w pracę. Nic nie przychodziło jej łatwo, musiała walczyć nawet o wydzielenie od reszty magazynu biurowego kącika dla siebie.

W ciągu pierwszego roku siedziała w rogu, mając przed oczami wielkie pomieszczenie, wiecznIE brudne i nigdy nieogrzewane. Siedziała przy starym stole kuchennym sprawiającym, że czuła się jak u matki. Nie miała odwagi się sprzeciwić, choć stary nawet nie płacił jej pensji. Gereon także dostawał tylko kieszonkowe. Mieszkali i jedli za darmo, samochód Gereona należał do firmy. Gdy potrzebowali pieniędzy na inne potrzeby, Gereon musiał prosić.

Ciąża także nie poprawiła sytuacji i nie zapewniła Corze żadnych dodatkowych udogodnień. Dosłownie do ostatniej chwili siedziała w kącie magazynu. Gdy nadeszły bóle, pracowała właśnie nad wstępnym kosztorysem instalacji centralnego ogrzewania gazowego; stała nad stołem, bo nie mogła dłużej siedzieć z bólem pleców. Teściowa wpadła w histerię, że wszystko dzieje się tak szybko. Kilka silnych skurczów, wody płodowe odeszły, a Cora poczuła niewyobrażalny ucisk w podbrzuszu.

Wcześniej nie chciała iść do szpitala, teraz zawołała jednak:

– Niech przyjedzie karetka! Zadzwoń po pogotowie!
Teściowa tylko stała, wskazując na stół.

– Jeszcze nie skończyłaś. Lepiej najpierw skończ. Nie może być tak źle. Dziecka nie rodzi się w dziesięć minut. Z Gereonem męczyłam się cały dzień. Ojciec będzie zły, jeśli to nie będzie gotowe na dziś wieczór. Wiesz przecież, jaki jest.

Wiedziała aż za dobrze. Od ślubu mieszkali przecież pod jednym dachem. Stary był tyranem i wyzyskiwaczem. Teściowa, uległa kobieta, podlizywała się górze, deptała dół. Gereon wypełniał tylko rozkazy, a ona odgrywała rolę służącej, tanio kupionej na wielkim rynku pracy w zamian za iluzję porządnego życia, czyli praktycznie za nic.

Stała tak zgięta nad starym kuchennym stołem, wśród brudu, patrząc na kałużę rosnącą u jej stóp, przyciskając dłoń między nogami i czując rosnące tam wybrzuszenie, i nagle było tego za wiele. Lepiej najpierw skończ? Nie!

W szpitalu miała czas, by spokojnie zastanowić się nad własnym życiem. Zrozumiała, że przestrzeganie dobrych obyczajów miało swoje wady, że w tym otoczeniu żadne marzenie nie spełniało się samo z siebie. Pytanie brzmiało, ile mogła zaryzykować. Ale z dzieckiem na rękę było łatwiej, dodatkowe trzy kilogramy wspierały każde żądanie.

Kilka dni później wróciła do domu i zaczęła realizować swoje postanowienia. Zyskała wtedy opinię bezczelnej i wyrachowanej istoty. Babochłop, mawiał często stary. Z pewnością nie była taka, ale w razie potrzeby umiała udawać. A bycie potulną i tak nic by nie dało.

Urządziła sobie biuro, wyposażyła je w biurko, szafkę na dokumenty i grzejnik. Przyznała sobie prawo także do

innych rzeczy, zaczęła wypłacać sobie i Gereonowi pensję. Stary wpadł w szal, mówił o bezwstydnosci i pazerności.

– Gdzie się nauczyłaś sięgać do portfela innych ludzi?

Serce podeszło jej do gardła, ale odpowiedziała mu:

– Albo będziemy opłacani tak jak inni, albo zaczniemy pracować u kogo innego. Wybieraj. Możesz też dowiedzieć się, ile płacą w pozostałych firmach. Zobaczysz, że i tak dobrze na tym wychodzisz. I nigdy nie mów, że sięgam do twojej kasy! Pracuję na swoje pieniądze!

Trudno było się sprzeciwić staremu. Jednak udało się, a przed ponad rokiem wywalczyła nawet własny dom. Mimo że mieli dziecko, kilkakrotnie obawiała się, że teść pokaże jej drzwi. „Idź tam, skąd przyszłaś”. A Gereon tylko by stał z zakłopotaną miną. Ani razu jej nie poparł, nigdy nie otworzył ust w jej obronie.

Wkrótce po narodzinach dziecka z gorzkim rozczarowaniem stwierdziła, że nie może liczyć na pomoc męża. Teraz nie miało to już znaczenia. Taki po prostu był, wykonywał swoją pracę, a poza tym chciał spokoju – a w piątki i soboty trochę miłości! Nie potrafiła z tym walczyć, bo przecież miłość była czymś dobrym, pięknym, zupełnie naturalnym i normalnym.

4 lipca, 16.52! Musiała jeszcze wypisać rachunek. Czeła z nim do teraz, by w ostatnich minutach odciągnął ją od innych myśli. Nowy kocioł grzewczy. Gereon zamontował go w śróde razem z Mannim Weberem. Na przyszły tydzień zaplanowane były dwa następne. Nowe rozporządzenie o zanieczyszczeniach zmusiło ludzi do wymiany urządzeń. Weszło w życie już przed paroma laty, ale wiele osób obawiało się kosztów i zwlekalo z tym, dopóki okręgowy kominiarz nie zaczął grozić, że odłączy stary piec.

Takie zachowanie było dość śmieszne. Człowiek wiedział dokładnie, co nastąpi. I nie robił nic! Chciał przeczekać. Jak

gdyby stary kocioł z dnia na dzień, i to całkiem samodzielnie, mógł dostosować wypuszczane zanieczyszczenia do surowszych norm, jak gdyby dziura w twoim wnętrzu mogła się z minuty na minutę ponownie zamknąć.

Cztery lata temu tak się stało. Nie z minuty na minutę, trwało to kilka miesięcy. I nie było wtedy Gereona, który jednym ruchem ręki niszczył misterną konstrukcję budowaną przez parę dni.

4 lipca, 16.57! Oprócz rachunku nie zostało jej już nic do zrobienia. W zeszły piątek mogła się jeszcze przez chwilę zająć wyliczaniem pensji. To była tylko gra na zwłokę, ale tak czy siak pozwalała opanować panikę. Nie czuła wyłącznie strachu czy zwykłego niepokoju. Jej umysł wypełniała szaroczerwona mgła, wciskała się w każdy zakamarek i blokowała każdy nerw.

Koniec pracy! Zesztywniałymi palcami wyjęła papier z maszyny i starannie sprawdziła poszczególne dane. Nie było czego poprawiać, musiała jeszcze tylko nieco ogarnąć biurko. Na koniec przerzuciła kartkę kalendarza na następny tydzień. Poniedziałek! Dzielily ją od niego dwie wieczności – to jakby dwa razy umrzeć. A ona już była na wpół martwa.

Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Jak na szczudłach przeszła przez malutkie biuro i magazyn na podwórze. Na zewnątrz było bardzo ciepło. Słońce niczym twarz dziecka śmiało się z bezchmurnego nieba. Raziło tak mocno, że oczy zaczęły jej łzawić. Niewiele miało to jednak wspólnego z ostrym światłem.

Stała na ulicy tuż przed domem teściów. Jej własny znajdował się na miejscu dawnego ogrodu. Był to duży budynek z nowoczesnym wyposażeniem, a w nim wymarzona kuchnia z jasnego dębu. Zazwyczaj Cora szczyliła

się tym wszystkim. Chwilowo nie istniały jednak uczucia takie jak duma czy pewność siebie. Tylko strach, ten szaleńczy strach, że zwariuje. A to oznaczało dla niej coś gorszego niż śmierć.

Prawie do siódmej krzątała się po domu. Gereon jeszcze nie przyszedł. W każdy piątek szedł z Mannim Weberem do baru i wypijał jedno lub dwa piwa, nigdy więcej niż dwa, a jeśli już, to bezalkoholowe. Punktualnie o siódmej spotykali się wtedy w domu teściów na kolacji.

O ósmej wrócili do domu. Synka zabrała ze sobą i od razu położyła go spać. Musiała go tylko zanieść do łóżeczka, teściowa już wcześniej założyła mu pieluchę i piżamkę.

Gereon usiadł przed telewizorem, obejrzał najpierw wiadomości, potem film. O dziesiątej przybrał charakterystyczny niespokojny wyraz twarzy. Zapalił jeszcze papierosa. Przedtem powiedział:

– Zapalę jeszcze jednego.

Był spięty i niepewny. Od tygodni nie wiedział, jak ma się zachowywać. Po kilku minutach zgasił papierosa i oznajmił:

– Pójdę już na górę.

Równie dobrze mógłby trzasnąć batem lub zrobić jakąś inną straszną rzecz.

Ledwo zdążyła się podnieść z fotela, zawołał:

– Cora, idziesz? Jestem gotowy.

Wziął prysznic i umył zęby. Jeszcze raz przejechał golarką po policzkach i szyi, wklepał w skórę nieco płynu po goleniu. Czysty, pachnący i przystojny stał teraz w drzwiach łazienki. Na sobie miał tylko slipy. Pod cienkim materiałem wyraźnie widać było jego erekcję. Uśmiechnął się zakłopotany i przeciągnął dłonią po karku, po mokrych po prysznicu włosach. Potem spytał niepewnie:

– A może nie masz ochoty?

Łatwo byłoby powiedzieć, że nie. Myślała o tym przez chwilę. Ale to nie rozwiązałyby problemu. Odłożone nie oznaczało załatwione.

Szybko skończyła się myć. Na półce nad umywalką leżało opakowanie środków nasennych, silniejszych niż na początku, a paczka była jeszcze prawie pełna. Wzięła dwie tabletki i popiła wodą z kubka. Potem, po chwili wahania, połknęła pozostałych szesnaście z nadzieją, że wystarczy ich, by ze sobą skończyć. Poszła do sypialni, ułożyła się obok Gereona i zmusiła się do uśmiechu.

Nie robił wiele zamieszania, starał się jak najszybciej skończyć. Położył rękę na celu i wsunął palec, sprawdzając możliwości. Nie było żadnych. Odkąd spróbował ją tam pocałować, nigdy ich nie było. Przyzwyczaił się już do tego, przygotował krem nawilżający, delikatnie go wmasował, po czym wsunął się na Corę i wszedł w nią.

W tym momencie zaczęło się szaleństwo. W pokoju było zupełnie cicho, pomijając oddech Gereona, najpierw wstrzymywany, potem silniejszy i głośniejszy. Poza oddechem nie było nic. A mimo to usłyszała dźwięki płynące z niewidzialnego radia. Po pół roku rytm był jej tak dobrze znany jak bicie własnego serca: galopujące uderzenia perkusji, którym towarzyszyły akordy gitary basowej i wysokie piski organów. Gdy Gereon przyspieszył, nasiliły się, aż pomyślała, że pęknie jej serce. Potem wszystko minęło, jakby ucięte dokładnie w chwili, gdy Gereon ułożył się obok niej.

Przekręcił się na bok i szybko zasnął. Patrzyła w ciemność i czekała, aż szesnaście tabletek zacznie działać.

Jej żołądek zdawał się wypełniony płynnym ołowiem, palił i burczał, jakby piekł go ogień. Potem zrobiło jej się gorąco i sucho w gardle. Z trudem dotarła do łazienki

i zwymiotowała. Później płakała przez sen, płakała w trakcie koszmaru, który rozrywał noc na tysiąc części, płakała wciąż, gdy Gereon potrząsał ją za ramiona i patrzył, nic nie rozumiejąc.

– Co ci się stało?

– Już nie mogę – odparła. – Po prostu już nie mogę.

Przy śniadaniu wciąż było jej niedobrze i czuła silny ból głowy. Często tak się działo pod koniec tygodnia. Gereon ani słowem nie wspomniał o nocnych wydarzeniach, tylko spoglądał na nią z nieufnością i powątpiewaniem.

Zaparzył kawę. Wyszła mu za mocna i jeszcze raz podrażniła jej obolały żołądek. Gereon wyjął syna z łóżeczka, posadził go sobie na kolanach i karmił kromką chleba grubo posmarowaną masłem i konfiturą. Był dobrym ojcem, troszczył się o dziecko, gdy tylko znajdował na to czas.

W ciągu tygodnia mały był pod opieką babci, spał także u teściów, w pokoju, który niegdyś należał do Gereona. Na weekend Cora zabierała syna do siebie. A gdy tak siedział u Gereona na kolanach, wydawał się najlepszą rzeczą, jaka jej się przydarzyła w życiu.

Gereon otarł mu konfiturę z brody i kącików ust.

– Ubiorę go – powiedział. – Na pewno chcesz go zabrać ze sobą na zakupy.

– Pojadę dziś później – odparła. – A w taki upał lepiej go zostawię.

Była dopiero dziewiąta, a termometr wskazywał już dwadzieścia pięć stopni. Ból głowy niemal wyciskał jej oczy z czaszki. Nie mogła myśleć, a musiała wszystko to zaplanować i wykonać starannie. Spontaniczna próba, taka jak w nocy, okazała się nieudolna, zbyt wielu rzeczy nie wzięła pod uwagę. Gdy Gereon kosił trawnik, przyniosła od teściowej jedną z silnych tabletek przeciwbólowych

dostępnych tylko na receptę. Potem wysprzątała kuchnię, łazienkę, schody i przedpokój tak dokładnie jak nigdy przedtem. Wszystko musiało być w idealnym porządku.

O jedenastej zabrała syna do teściowej i z dwiema pustymi torbami na zakupy poszła do samochodu. Auto zdawało się najprostszym rozwiązaniem. Jednak gdy ruszyła, zrezygnowała z tego pomysłu. Samochód był potrzebny Gereonowi. Jak inaczej dojechałby w poniedziałek do klientów? Poza tym nigdy nie zniszczyłaby czegoś tak drogiego jak nowe auto.

Z przyzwyczajenia pojechała do supermarketu. Napełniając koszyk, rozważała inne możliwości. Nic nie przychodziło jej do głowy. Przy stoisku z wędlinami stało kilkanaście kobiet. Zastanawiała się, ile z nich z tęsknotą wyczekiwało wieczoru, a ile czuło się tak samo jak ona. Żadna! Tego była pewna.

Stanowiła wyjątek. Zawsze była wyjątkiem, samotniczką z blizną na czole. Cora Bender, niespełna dwudziestopięcioletnia, delikatna, szczupła, od trzech lat zamężna, matka prawie dwuletniego synka, którego urodziła w zasadzie na stojąco, zaraz po wejściu do karetki.

Nagły poród, tak powiedzieli lekarze. Teściowa uważała inaczej.

- Musiała taka długo się puszczać, wtedy na dole zrobiła się dość szeroka, żeby wyrzucić z siebie dziecko w ten sposób. Kto wie, co wcześniej robiła! Na pewno nic dobrego, skoro rodzice nie chcą jej znać. Nie przyszli nawet na wesele. Człowiek się zastanawia dlaczego.

Cora Bender, rudawobrązowe długie do ramion włosy opadające na czoło w ten sposób, że zasłaniały krzywą bliznę przy uszkodzonej kości. Ładna, pociągła twarz o niepewnym, bezradnym wyrazie, jak gdyby zapomniała włożyć do koszyka jakiś produkt. Małe dłonie, które tak

mocno zaciskały się na uchwycie koszyka, że aż bieleły jej knykcie. Brązowe oczy niespokojnie spoglądające na towary w koszyku, liczące opakowania jogurtu, zatrzymujące się na tacce z jabłkami. Sześć jabłek, dużych i soczystych, o złotej skórce. Golden delicious. Uwielbiała tę odmianę. Uwielbiała także życie. Ale jego już nie było. Dokładnie rzecz biorąc, nie było go nigdy. I wtedy przyszło jej do głowy, jak może doprowadzić rzecz do końca.

Po południu, gdy minął najgorszy upał, pojechali nad Otto-Maigler-See. Gereon prowadził. Nie był zachwycony jej pomysłem, ale nie protestował. Okazał swój zły humor w inny sposób, nie mając pojęcia, że przez to umacnia ją w podjętej decyzji. Przez kwadrans krążył po zakurczonym parkingu położonym najbliżej wejścia.

Dalej było dużo wolnych miejsc. Kilkakrotnie zwróciła mu na to uwagę.

– Nie mam ochoty dźwigać tych wszystkich kłopotów taki kawał – odparł.

W samochodzie panował upał. Podczas podróży nie mogli opuścić szyb. W przeciagu dziecko łatwo by się zaziębiło. Gdy wyjeżdżali, była spokojna. Kręcenie się po parkingu zdenerwowało ją.

– Zdecyduj się wreszcie – powiedziała ostro. – Inaczej w ogóle przestanie się opłacać.

– Gdzie ci się tak spieszy? Te kilka minut nie ma znaczenia. Może któryś odjedzie.

– Co za bezsens. O tej porze nikt nie jedzie do domu. Albo wreszcie zaparkujesz, albo mnie wysadź, to pójde pieszo. Jak dla mnie możesz się tu kręcić do samego wieczora.

Była czwarta. Gereon się skrzywił, ale nic nie powiedział. Kawalek wycofał auto, choć wiedział, że ona tego nie

znosi. W końcu zaparkował tak blisko innego samochodu, że drzwi po jej stronie nie dawały się otworzyć.

Wydostała się na zewnątrz, lekki powiew musnął jej czoło, przynosząc ulgę. Potem schyliła się znowu do dusznego samochodu, sięgnęła po torbę, zawiesiła ją sobie na ramieniu i wyjęła dziecko z fotelika na tylnym siedzeniu. Postawiła synka obok auta i przeszła na tył, by pomóc Gereonowi w rozpakowywaniu.

Wzięli wszystko, co może być potrzebne do spędzenia popołudnia nad jeziorem. Później nikt nie powinien niczego podejrzewać. Koc i parasol przeciwsłoneczny wcisnęła pod ramię, na którym wisiała już torba. Obydwa leżaki chwyciła w drugą rękę, dla Gereona zostały tylko ręczniki, lodówka turystyczna i dziecko.

Zamrugnęła oczami w rażącym świetle. Na wielkim placu nie było odrobiny cienia. Na skraju rosło zaledwie kilka krzaków, raczej zakurzonych niż zielonych. Okulary leżały głęboko schowane w torbie. Nie założyła ich w samochodzie, tylko opuściła klapkę. Gdy szła, leżaki uderzały ją w nogę. Wystający kawałek metalu drapał niemiło gołą skórę i zostawiał czerwony ślad.

Gereon dotarł do bramki przy wejściu i czekał na nią. Ręką wskazywał na drucianą siatkę, tłumacząc coś dziecku. Był ubrany tylko w szorty i sandały. Nagi tors, śniada, gładka skóra. Miał dobrą sylwetkę, szerokie plecy, umięśnione ramiona i wąskie biodra. Gdy tak stał, nabrała pewności, że szybko znalazłby sobie inną. Podeszła, a on nie ruszył się z miejsca i nie pomógł jej z rzeczami.

Przed wejściem należało pokazać dowód opłaty za parking. Wcześniej go schowała, odstawiła więc leżaki i zaczęła szukać karteczki w torbie. Przecisnęła rękę przez pieluchy i świeżą bieliznę obok dwóch jabłek, banana i kawałka keksu, poczuła między palcami plastikową łyżeczkę

do jogurtu, a potem ostrze małego nożyka do obierania. Prawie się zacięła. W końcu natrafiła na skórzany portfel, otworzyła go, wyjęła bilet i pokazała go kobiecie przy bramce. Następnie wzięła do ręki leżaki i w ślad za Gereonem ruszyła do wejścia.

Musieli przejść daleko po wydeptanym trawniku, przepychać się między niezliczonymi kocami, siedzącymi ludźmi i bawiącymi się dziećmi. Pasek torby wrzynał jej się w ciało. Przyciskająca koc i parasol ręka zdrętwiała. Noga bolała w miejscu, gdzie metalowa część leżaka draapa skórę. Były to czysto zewnętrzne doznania, które już jej nie przeszkadzały. Skończyła z życiem, starała się tylko zachowywać normalnie i nie robić nic, co mogłoby zaniepokoić Gereona. Chociaż nie wierzyła, że właściwie zinterpretowałby zdradziecki gest albo słowo.

W końcu zatrzymali się w miejscu dającym przynajmniej złudzenie cienia – rosło tam wątłe drzewko z rzadką koroną, liście zwisały w dół niczym uspione. Pień nie był grubszy niż ramię.

Położyła rzeczy na trawie, rozłożyła parasol i wbiła go ostrym końcem w ziemię. Pod nim położyła koc, a leżaki ustawiła obok. Gereon posadził synka na kocu i przesunął lodówkę pod parasol. Potem usiadł, zdjął dziecku buty i skarpetki, ściągnął mu przez głowę cienką koszulkę i zsunął kolorowe spodenki.

Mały siedział w białych majteczkach nad paczką piechluch. Z włosami miękko okalającymi mu buzię wyglądał prawie jak dziewczynka. Spojrzała na niego i zastanowiła się, czy brakowałoby mu jej, gdyby odeszła. Pewnie nie, skoro i tak większość czasu spędzał u teściowej.

To było dziwne uczucie stać wśród wszystkich tych ludzi. Za nimi na kilku kocach rozłożyła się liczna rodzina. Ojciec, matka, dziadek, babcia, dwie dziewczynki,

cztero- i pięcioletnia, w bikini z falbankami. Niemowlę w pieluszcze raczkowało pod parasolem.

Tak jak wcześniej w supermarkecie zastanawiała się teraz, co się dzieje w głowach innych ludzi. Babcia za drzewkiem bawiła się z niemowlęciem. Obaj mężczyźni wylegiwali się na słońcu. Dziadek położył gazetę na twarzy, ojciec nasunął czapkę na oczy. Matka wyglądała na zmęczoną. Kazała jednej z dziewczynek wytrzeć nos i równocześnie szukała w koszu chusteczek. Na prawo od nich siedziała na leżakach starsza para. Po lewej kawałek trawnika był wolny. Gromadka dzieci grała tam w piłkę.

Cora zdjęła koszulkę i zsunęła spódnicę, pod spodem miała kostium kąpielowy. Poszukała w torbie okularów przeciwsłonecznych, włożyła je i usiadła na leżaku.

Gereon także już siedział.

- Posmarować cię kremem? - spytał.
- Zrobiłam to w domu.
- Na plecach trudno wszędzie dosięgnąć samemu.
- Przecież nie siedzę plecami do słońca.

Gereon wzruszył ramionami, odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Popatrzyła na wodę. Przyciągała ją niczym magnes. Dla wytrawnej pływaczki nie będzie to proste. Ale jeśli wcześniej zrobi okrążenie, porządnie się przy tym męcząc... Podniosła się znowu, zdjęła okulary i powiedziała:

- Idę do wody.

Nie musiała mu tego mówić. Nawet nie otworzył oczu.

Przeszła przez trawnik i wąskie pasmo piasku, zaczęła brodzić w przybrzeżnej płytcinie. Woda była chłodna i rześka. Gdy zanurkowała, a toń zamknęła się ponad jej głową, przeszedł ją przyjemny dreszcz.

Popłynęła aż do linii oddzielającej plażę strzeżoną od reszty jeziora, a potem przez chwilę wzdłuż niej. Natychmiast ogarnęła ją pokusa, by zrobić to od razu - przekroczyć

granicę i wypłynąć dalej. Nie było to zabronione. Na drugim brzegu także znajdowało się kilka koców, a na nich siedzieli grupkami ludzie, którzy nie chcieli płacić za wstęp i którym nie przeszkadzało leżenie na kamieniach i pośród zarośli. Jednak ratownik na drewnianej wieżyczce ustawionej na publicznej plaży miał w zasięgu wzroku także tamten brzeg. Tyle że nie mógł widzieć wszystkiego naraz i w razie potrzeby nie dotarłby wystarczająco szybko na miejsce. Założenie było takie, że ktoś krzyknie o pomoc lub przynajmniej zamacha ramionami. A jeśli w zamieszaniu gdzieś po prostu zniknie czyjaś głowa...

Podobno utopił się tu kiedyś jakiś mężczyzna, jego ciała nigdy nie znaleziono. Nie wiedziała, czy to prawda. Jeśli tak, to mężczyzna nadal musiał leżeć na dnie. Mogłaby z nim zamieszkać wśród ryb i wodorostów. W tym wodnym świecie z pewnością było pięknie, nie istniały melodie ani czarne sny, tylko lekki szmer i tajemnicze zielenie lub brązy. Człowiek w jeziorze nie słyszał perkusji. Tylko uderzenia własnego serca. Żadnej gitary ani pisków organów. Jedynie szum własnej krwi w uszach.

Po prawie godzinie popłynęła z powrotem, choć przyszło jej to z trudem. W wodzie straciła już jednak większość sił. Czowała także potrzebę pobawienia się jeszcze chwilę z dzieckiem, może wytłumaczenia mu, dlaczego musi odejść. Mały tego nie rozumiał. Chciała także dyskretnie pożegnać się z Gereonem.

Gdy dotarła do swojego koca, starszej pary już nie było. Stały tam tylko dwa puste leżaki. Miejsce po lewej stronie zajął ktoś inny. Zniknęły dzieci z piłką. Leżał tam teraz jasnozielony koc, tak blisko jej leżaka, że dotykał go rogiem. Pośrodku stał duży przenośny radiomagnetofon, z którego płynęła muzyka, wypełniając popołudnie.

Wokół magnetofonu ułożyły się cztery osoby, wszystkie w tym samym wieku co ona i Gereon. Dwóch mężczyzn, dwie kobiety. Dwie pary! Kobieta i mężczyzna siedzieli wyprostowani z podciągniętymi nogami i tylko rozmawiali. Obie twarze zwrócone profilem. Twarzy drugiej dwójki początkowo w ogóle nie dało się dostrzec. Leżeli oni wyciągnięci na kocu, mężczyzna na gorze.

U kobiety widać było tylko włosy, bardzo jasny blond, niemal białe i bardzo długie – sięgały jej bioder. Mężczyzna miał włosy ciemne i poskręcane na karku. Jego muskularne nogi leżały między rozłożonymi udami kobiety. Rękami obejmował jej głowę. Całował ją.

Ten widok natychmiast ścisnął Corze serce. Oddychała z trudem, poczuła, że nogi ma jak z waty. W głowie miała pustkę. Tylko po to, by znowu ją napełnić, schyliła się pod parasol i chwyciła ręcznik. Aby zagłuszyć przyspieszającą tętno melodię, pogładziła dziecko po główce, zamieniła z nim parę słów, wyciągnęła z torby czerwoną plastikową rybkę i wcisnęła mu ją do rączki.

Potem obróciła leżak tak, że grupa z magnetofonem znalazła się za jej plecami. Mimo to wciąż miała ich przed oczami. Stopniowo jednak obraz zblakł, a ona się uspokoila. Nie obchodziło jej, co robiła para z tyłu. Było to normalne i nieszkodliwe, muzyka nawet nie przeszkadzała. Ktoś śpiewał coś po angielsku.

Oprócz muzyki słyszała wysoki głos kobiety i rozważny mężczyzny. Musiał to być ten wyprostowany. Gdy tak rozmawiali, odnosiło się wrażenie, że nie zna swojej rozmówczyni zbyt długo. Nazywał ją Alice. Imię to przypomniało jej o księżce, którą miała jako dziecko. Przez jeden dzień! *Alicja w Krainie Czarów*. Nie przeczytała jej. Nie zdążyła przez te kilka godzin. Ojciec opowiedział jej, o czym była.

Ale jego opowieści nie miały wartości większej niż jego obietnica:

– Pewnego dnia będzie lepiej.

Mężczyzna za leżakiem opowiadał, że chce się usamodzielnic. Dostał dobrą ofertę otworzenia wspólnej praktyki, tłumaczył Alice. Pozostalej dwójki leżącej na kocu nie było słyhać.

Gereon zerknął żonie przez ramię i się uśmiechnął. Od-ruchowo spojrziała do tyłu. Ciemnowłosy mężczyzna podniósł się. Wciąż zwrócony plecami do Cory klęczał obok jasnowłosej kobiety, zdjął górę jej bikini i wylewał olejek do opalania między jej piersi. Wyraźnie było widać mokry ślad. Właśnie zabierał się do rozsmarowywania. Kobieta prężyła się pod jego dotykiem. Najwyraźniej sprawiało jej to przyjemność. Potem ona także usiadła.

– Teraz ty – powiedziała. – Ale najpierw włączymy prawdziwą muzykę. Przy tym rzępoleniu można zasnąć.

Obok nóg jasnowłosej kobiety leżała kolorowa torba. Sięgnęła do niej i wyjęła kasetę. Ciemnowłosy mężczyzna zaprotestował:

– Nie, Ute, nie tę. To nie *fair*. Skąd ją masz? Oddawaj!

Złapał kobietę za ramię. Pozwoliła mu się przewrócić na plecy, on opadł na nią. Szamotali się i prawie sturlali z koca.

Gereon wciąż się uśmiechał.

Mężczyzna leżał teraz na plecach, kobieta usiadła na nim okrakiem, uniosła dłoń z kasetą ponad głowę, śmiała się i dyszała:

– Wygrałam, wygrałam. Nie psuj nam zabawy, skarbie. Ta muzyka jest świetna.

Pochyliła się do magnetofonu. Jej długie blond włosy dotknęły nóg mężczyzny, gdy wkładała kasetę i włączała przycisk. Potem nastawiła głośniej.

Słowa „Nie psuj nam zabawy” i „skarbie” uderzyły Corę i poruszyły coś w jej wnętrzu. Gdy zabrzmiały pierwsze takty melodii, jasnowłosa kobieta dała się przewrócić mężczyźnie i objęła dłońmi jego twarz. Pocałowała go i przesuwiała biodrami po jego podbrzuszu.

Gereon przybrał swój niespokojny wyraz twarzy.

– Posmarować cię kremem? – spytał.

– Nie!

Nie chciała być taka ostra. Ale to, co robiła ta kobieta, i reakcja Gereona wywołały w niej wściekłość. Gwałtownie wstała. Nadszedł czas, by pożegnać się z dzieckiem. Chciała to zrobić w spokoju, a nie z leżącą w pobliżu kobietą, która nazbyt wyraźnie unaoczniała jej to, w czym ona sama zawiodła.

– Mogliby przynajmniej ściszyć muzykę – powiedziała. – Głośna muzyka jest tu zabroniona.

Gereon skrzywił się.

– Najchętniej zabroniłabyś ludziom oddychać. Nie wściekaj się tak. Mnie podoba się muzyka i reszta też. Ona ma przynajmniej w sobie trochę ognia.

Zignorowała jego słowa, podniosła dziecko i wolną ręką sięgnęła po czerwoną rybkę. Dobrze i kojąco było czuć ciepłe, mocne ciało, pieluszkę pod białymi spodenkami, pulchną rączkę na plecach i widzieć dziecięcą twarzyczkę tak blisko swojej.

Postawiła synka na płyciźnie przy brzegu. Zatrząsał się. Woda była dla niego zimna po tak długim czasie spędzonym na słońcu. Po kilku sekundach przysiadł i spojrzał na nią. Podała mu czerwoną rybkę, a on ją zanurzył w wodzie.

To było śliczne, ciche dziecko. Nie mówiło dużo, choć jak na swój wiek miało dość bogate słownictwo i umiało formułować krótkie zdania. „Chcę jeść”. „Tata musi pracować”. „Babcia robi budyn”. „To jest łóżko mamy”.

Pewnego niedzielnego ranka, wkrótce po przeprowadzce do własnego domu, gdy mały skończył właśnie rok, Cora zabrała go ze sobą do łóżka. Zasnął w jej ramionach. To było głębokie i ciepłe uczucie tak go trzymać.

Gdy stała teraz wyprostowana obok niego, spoglądała na jego wąskie białe plecki, małą piąstkę, która kołysała w wodzie czerwoną rybkę, na pochyloną główkę o niemal białych włosach, na delikatną szyję, to uczucie nadeszło znowu. Jeśli nie było wystarczająco wielu powodów, zrobiłaby to tylko dla niego. Żeby dorastał wolny i bez obciążeń. Kucnęła obok niego i pocałowała go w ramię. Pachniał mleczkiem do opalania, czysto i świeżo. Gereon posmarował go, gdy pływała.

Przez pół godziny stała z dzieckiem w płytkiej wodzie, zapomniała o obu parach na zielonym kocu, o wszystkim, co mogło zakłócić pożegnanie. Trawnik powoli opustoszał, dochodziła szósta, a ona uświadomiła sobie, że już najwyższy czas. Gdyby nie miała ze sobą dziecka, wypłynęłaby, nie myśląc nawet przez chwilę o Gereonie. Nie mogła jednak zostawić na brzegu bezradnego malca całkiem samego. Poszedłby za nią.

Wzięła go znowu na ręce, przez kostium poczuła teraz na brzuchu chłodne nóżki i mokre spodenki, a na szyi mocne, pulchne ramionka. Ścisnął czerwoną rybkę za pletwę.

Gdy podeszła do ich parasola, spostrzegła, że na zielonym kocu nic się nie zmieniło. Muzyka rozbrzmiewała tak głośno jak przedtem. Jedna para spokojnie siedziała i rozmawiała. Druga znowu leżała.

Nie przejmowała się tym, włożyła dziecku świeżą pieluchę i suche majtki. Chciała już odejść, została jednak znowu zatrzymana.

- Chcę jeść - powiedziało dziecko.

Kilka minut nie robiło różnicy. Była całkowicie skoncentrowana na ostatnich chwilach z synem.

– Co chcesz? Jogurt, banana, keks czy jabłko?

Przechylił główkę, jakby poważnie zastanawiał się nad jej pytaniem.

– Jabłko – odpowiedział.

Jeszcze raz usiadła na leżaku, wyjęła z torby jabłko i mały nóż do obierania.

Pod jej nieobecność Gereon przesunął leżak tak, że nie siedziała już tyłem do koca, lecz bokiem, a jemu łatwiej było spoglądać przez jej ramię. Siedział z wyciągniętymi nogami i rękami założonymi na brzuchu, udawał, że patrzy na wodę, ale naprawdę zerkał na piersi jasnowłosej wywłoki. Na pewno znajdzie sobie taką, jak jej już nie będzie.

Powinna się zdenerwować na samą myśl, ale nic takiego nie nastąpiło. Nawet się nie zasmuciła. Ta jej część, która zdolna była do odczuwania, już umarła, odeszła w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, a ona nawet tego nie zauważyła. Myślała tylko o tym, jak sobie wszystko ułatwić.

Nie walczyć z wodą. Tam gdzie zaczynała się odgradzająca linia, mały kawałek łądu porośnięty chaszczami wcinał się w jezioro. W tym miejscu natychmiast zniknęłyby ludziom z oczu. A potem popłynąć na środek jeziora. Od razu zanurkować. To odbierało siły.

Z magnetofonu huczała solówka na perkusji. Choć nie zwróciła na to uwagi, pot wystąpił jej na czoło. Mocno trzymała jabłko w dłoni, czuła dreszcze na karku, mięśnie jej ramion się napięły. Po plecach przeszły jej ciarki i poczuła się tak, jakby leżała na zimnej podłodze. I coś, co przypominało bardzo gruby kciuk, wcisnęło się jej do

ust. Tak jak na Boże Narodzenie, gdy Gereon chciał, żeby było wyjątkowo pięknie.

Przełknęła głośno ślinę, wzięła nożyk i podzieliła jabłko na ćwiartki, trzy położyła sobie na ściśniętych kolanach.

Za nią znajomy już głos Alice powiedział:

– Naprawdę jest w tym ogień.

Siedzący mężczyzna odparł:

– Dziś nikt by się tego po nim nie spodziewał. Minęło już pięć lat. To były dla Frankiego dzikie dni. Wszystko nie trwało dłużej niż kilka tygodni. Nie lubi, kiedy mu się o tym przypomina. Ale sądzę, że Ute ma rację. Muzyka jest świetna, nie musi się jej wstydzić. Było ich troje przyjaciół, niestety, nigdy nie wyszli z piwnicy. Frankie siedział przy perkusji.

„Frankie” – krótko zabrzmiało w jej głowie. Przyjaciele, piwnica, perkusja, wszystko utkwiło głęboko.

– Też przy tym byłeś? – spytała Alice.

– Nie – brzmiała odpowiedź – wtedy go jeszcze nie znałem.

Gereon przeciągnął się na leżaku i spojrzał na jabłko w jej dłoni.

– Na pewno nie zje wszystkiego. Możesz mi dać resztę.

– Resztę zjem sama – powiedziała. – A potem popływam. Weź sobie drugie. Mamy jeszcze jedno.

Na koniec kawałek jabłka! Golden delicious, już jako dziecko uwielbiała tę odmianę. Na samą myśl ciekła jej ślinka.

Blondynka na kocu podniosła się. Cora widziała to kątem oka.

– Poczekajcie – powiedziała kobieta i włączyła przycisk magnetofonu. – Przewinę trochę. To, co leciało do tej pory, to nic w porównaniu z *Song of Tiger*. Nie słyszeliście do tej pory nic lepszego.

Ciemnowłosy mężczyzna przeturlał się i znowu złapał kobietę za ramię. Cora po raz pierwszy zobaczyła jego twarz, ale nie mówiła jej nic. Jego głos tak samo jak dotąd wpadał jednym uchem, a wypadał drugim, gdy na nowo i tym razem silniej zaprotestował:

– Nie, Ute, już wystarczy. To nie. Nie rób mi tego. – Wydawał się mówić poważnie.

Ale Ute zaśmiała się i odtrąciła jego rękę.

Cora pomyślała o domu. Teściowa na pewno sprawdziła już każdy kąt i nie znalazła niczego, do czego mogłaby się przyczepić. Wszystko było nienagannie czyste. Księgowość także była w porządku. Nikt nie mógłby jej zarzucić, że była flejtuchem.

Oczyściła ćwiartkę jabłka z pestek i obrała jak najcieńniej skórkę. Podawała kawałek dziecku i wzięła następny dla siebie. W tym momencie muzyka rozbrzmiała ponownie, jeszcze głośniejszą niż wcześniej. Nie chciała się przyglądać, ale mimo to zerknęła kątem oka w tamtą stronę i ujrzała, jak blondynka pozwala przewrócić się na ziemię. Ręce trzymała na barkach mężczyzny i pociągnęła go za sobą. Cora zobaczyła, jak zanurzył dłoń w jej jasnych włosach. Jak je pociągnął i ułożył głowę kobiety w pozycji, która była dla niego wygodna. Potem pocałował ją. A perkusja...

Kawałki jabłka spadły na trawę, gdy skoczyła na nogi. Gereon wzdrygnął się, gdy zaczęła krzyczeć.

– Przestańcie, świnie! Przestańcie! Zostawcie ją! Zostawcie!

Przy pierwszym zdaniu padła przy mężczyźnie na kolana, przy ostatnim zdążyła już raz wbić nożyk w jego ciało.

Pierwszy cios trafił go w kark. Krzyknął, przetoczył się i złapał ją za przegub. Przez sekundę lub dwie trzymał ją

w mocnym uścisku. Spojrzał wtedy na nią. A potem puścił i spojrzal jeszcze raz. Wymamrotał coś. Nie zrozumiała. Muzyka była za głośna.

To było to! To była melodia z jej głowy, melodia, od której zaczęło się szaleństwo. Rozbrzmiewała ponad wydeptanym trawnikiem, głaskała przerażone twarze i zeszywniałe ciała.

Drugi cios trafił z boku w szyję. Mężczyzna otworzył szeroko oczy, ale nie wydał już z siebie żadnego dźwięku, sięgnął tylko ręką do szyi i spojrzal jej głęboko w oczy. Krew trysnęła mu spomiędzy palców czerwona jak plastikowa rybka. Jasnowłosa kobieta krzyknęła i próbowała przeczołgać się między jego nogami.

Cora uderzyła jeszcze raz i jeszcze raz. Cios w gardło. Cios w ramię, cios w policzek. Nóż był mały, ale spiczasty i bardzo ostry. A muzyka brzmiała tak głośno. Melodia wypełniała jej całą głowę.

Mężczyzna, który wcześniej siedział i rozmawiał z Alice, krzyknął coś. Brzmiało to jak: „Przestań!”.

Oczywiście! O to przecież chodziło. Przestańcie! Przestańcie, świnię! Siedzący mężczyzna wyciągnął rękę, jak gdyby chciał ją schwycić za ramię. Ale tego nie zrobił. Nikt niczego nie zrobił. Było tak, jakby wszyscy w tym momencie zamarli. Alice przyciskała obie dłonie do ust. Blondynka na zmianę jęczała i krzyczała. Małe dziewczynki w bikini z falbankami tuliły się do matki. Dziadek opuścił gazetę i wyprostował się. Babcia przycisnęła niemowlę do piersi. Ojciec próbował wstać.

Wreszcie Gereon zerwał się z leżaka i w następnej chwili znalazł się nad żoną. Uderzył ją pięścią w plecy, chciał chwycić rękę z nożem, gdy ponownie uniosła ramię. Wrzasnął:

- Cora! Dość tego, do cholery! Oszalałaś?

Nie, nie, w głowie miała absolutną jasność. Wszystko było dobrze. Wszystko było w porządku. Musiało tak być. Wiedziała to na pewno. Mężczyzna także to wiedział, można to było wyczytać w jego oczach.

– Oto moja krew przelana za twoje grzechy.

Gdy Gereon rzucił się na nią, siedzący mężczyzna i ojciec małych dziewczynek przyszli mu z pomocą. Chwycili ją za ramiona, a Gereon wyrwał jej nóż z rąk, złapał za włosy, odchylił głowę do tyłu i kilkakrotnie uderzył pięścią w twarz.

Gereon krwawił z dwóch lub trzech ran na ramieniu. Jego także trafiła, choć niechący. Drugi mężczyzna krzyknął na Gereona, żeby przestał. Ten w końcu się opanował. Trzymał ją jednak w żelaznym chwycie za kark i przyciskał jej twarz do zakrwawionej piersi ofiary.

Było cicho. Wszędzie wokół również panowała niemal zupełna cisza. Tylko kilka rytmów, ostatnia solówka na perkusji tuż przed końcem taśmy. Potem kliknięcie. Przycisk magnetofonu podskoczył, skończyło się.

Poczuła uchwyt Gereona, bolące miejsca na twarzy, gdzie trafiła jego pięść, krew na policzku i jej smak na ustach. Usłyszała szmer głosów naokoło. Jasnowłosa kobieta jęczała.

Wyciągnęła rękę, by położyć ją kobiecie na nodze.

– Nie bój się – powiedziała. – On cię już nie będzie bił. Chodź. Odejdź stąd. Zniknijmy. Nie powinnyśmy były przychodzić. Możesz wstać sama czy mam ci pomóc?

Jej dziecko na kocu zaczęło płakać.